



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: HITLER NADCHODZI

Spośród wielu wypowiedzi światowej krytyki na temat „Jaja węża” Ingmara Bergmana najbardziej zapadła nam w pamięć uwaga Gordona Gow w „Films and Filming”: *Z dala od Szwecji i swej ukochanej wyspy Faro, Bergman wybrał trudny temat i zrealizował go w monachijskim studio z zespołem technicznym i aktorami o innej, niż jego, narodowości. Jeśli wynik jest poniżej poziomu, wiemy, że poziom ten jest niezwykle wysoki. Znajdujemy w filmie dużo dowodów talentu Bergmana, choć temat w tym kształcie nie oddziaływuje w sposób taki, jaki został niewątpliwie zamierzony.*

Istotnie. Rozważa Bergman w „Jaju węża” tak bardzo wciąż dla nas żywy problem narodzin faszyzmu w Niemczech: zagadnienie etyki w działalności naukowej, sprawę niebezpieczeństw płynących z chęci manipulowania ludźmi, wreszcie – stawia kolejny raz w swej twórczości pytania na temat moralnej odpowiedzialności artysty wobec zła. Ale twórca „Siódmej pieczęci”, „Wieczoru kuglarzy”, „Persony” i „Twarzą w twarz” jakby się niekiedy gubił w temacie, jakby kołatał się wśród scen, ujęć, pomysłów z wielu swoich poprzednich filmów, nie mogąc się zdecydować na jakąś wyraźną drogę. Bergman znalazł się na obcym dla niego terenie, nie tylko w sensie geograficznym, i widać to w tym filmie zdecydowanie. Jakże złośliwe, ale zarazem jak bardzo trafne, jest stwierdzenie pewnego krytyka, że przedstawiane przez Bergmana w „Jaju węża” Niemcy z okresu republiki weimarskiej są... *widziane okiem szwedzkiego turysty, dla którego księża zawsze noszą w sobie poczucie winy.* Jest wreszcie jakimś zgrzytem pewna zbieżność z głośnym, dotyczącym tego samego okresu i toczącym się miejscami w podobnej scenerii „Kabaretem” Boba Fosse’a.

Zarówno w „Kabarecie” jak i w „Jaju węża” akcja rozgrywa się w Niemczech z początku lat dwudziestych, w okresie narastającej coraz bardziej inflacji i bezrobocia, zamętu politycznego i gospodarczego, w atmosferze rozgoryczenia z powodu przegranej wojny i szukania przez społeczeństwo dróg wyjścia z istniejącego stanu rzeczy. Dla przeciętnego obserwatora to, co się wokół dzieje, konkretyzuje się w wymiarze codziennym, w stanie ciągłego zagrożenia. Jako swoiste antidotum narasta coraz większa liczba kabaretów, teatrzyków o dwuznacznych programach i tingel-tangli zachęcających do sposobu życia w myśl zasady „carpe diem”. A równocześnie coraz częściej krążą po ulicach bojówki, których

członkami są ludzie skupieni wokół niejakiego Adolfa Hitlera, nawołującego do rządów silnej ręki. Z Hitlerem nikt się jeszcze wprawdzie poważnie nie liczy, ale daje on w sposób dobitny - za pośrednictwem pałek i pięści swoich ludzi - znać o swym istnieniu... Hitler jest jeszcze słaby, ale szermuje atrakcyjnymi dla wielu argumentami; ilu mieszkańców Niemiec ulegnie w przyszłości tej argumentacji?

Głównymi bohaterami „Kabaretu” są przybysze z zewnątrz, obserwatorzy zachodzących wypadków: kontestująca, pozbawiona ciepła rodzinnego panna z dobrego amerykańskiego domu, występująca jako piosenkarka na deskach podejrzanych berlińskich kabaretów, oraz młody angielski naukowiec-lingwista przybyły do Niemiec dla „doszlifowania” języka. Są oni osobami całkowicie niezależnymi i mogącymi w każdej chwili wybrać drogę do rodzinnego kraju, gdzie mają zapewnione, odpowiednie dla ich klasy i pozycji, warunki materialne.

W „Jaju węża” sprawa jest już bardziej skomplikowana: nieznana bliżej z pochodzenia ex-cyrkówka, występująca jako piosenkarka w najniższej klasy kabaretach, oraz jej amerykański szwagier, również cyrkowiec, ale obecnie bez żadnego zatrudnienia, pozostają w ścisłej zależności finansowej od otaczających ich warunków. I jeden, i drugi film łączą sekwencje kabaretowe z nader śmiałymi scenami. Ale jeśli „Kabaret” jest swego rodzaju drapieżnym i dosadnym „musicałem”, wykładającym swe zdanie na temat narodzin faszyzmu w sposób rysowany grubym konturem, z pozycji „kawa na ławę”, przy pomocy humoru i drwiny, to „Jajo węża” przedstawia się jako ponury dramat duszy. Nie tylko jednostki, ale również dramat duszy narodu. Bob Fosse woła w „Kabarecie”: patrzcie jak to wyglądało u samych początków! Ingmar Bergman próbuje dojść, jak to się stało, że widoczny dobrze dla każdego w przezroczystym jaju węża groźny zarodek mógł spokojnie przetrwać okres inkubacji, aby następnie wychynąć na świat ze straszliwą siłą.

W roku 1923, gdy dzieje się akcja filmu, pierwszy pucz hitlerowski został łatwo stłumiony. Ale w dziesięć lat później Hitler miał dojść jednak do władzy...

Lecz o co właściwie Bergmanowi chodzi; o hitleryzm czy też o istotę faszyzmu? O jego podłoże, na którym wykiełkowało tak dobrze ziarno rzucone przez przyszłego Führera? Dla profesora Hansa Vergerusa z „Jaja węża”, prowadzącego swe nieludzkie eksperymenty w podziemiach kliniki św. Anny, które mają na celu wynalezienie odpowiedniego preparatu na czynienie ludzi bezwolnymi, Hitler jest tylko zdiczałym pędem wyrastającym z pnia wyznawanej przez Vergerusa „idei”... Czy chodzi tylko o problem filozofii przemocy w wydaniu niemieckim, czy też w szerszym, ogólnoswiatowym znaczeniu ?

Zza trywialnych kupletów śpiewanych na scenie „Kabaretu” wiało grozą; z „Jaja węża” przebija przez cały czas groza i przerażenie nad losem i kondycją ludzkiego rodzaju, bez nadziei na poprawę. Może dzieje się to w sposób niezupełnie zamierzony przez reżysera,

może to „wina” stylistyki, jaką zastosował w tym filmie? Nawiązuje wszak Bergman w „Jaju węża” wyraźnie do dzieł Fritza Langa, do opowiadanych przez niego historii „Doktora Mabuse” czy „M – Morderca”, do nurtu zwanego „niemieckim ekspresjonizmem filmowym” z wszystkimi jego niezwykłościami, makabrycznościami i duszącą, ciężką atmosferą. Pomysł, oczywiście, oryginalny i sprawdzający się szczególnie w doskonałych zdjęciach Svena Nykvista. Ale niemiecki ekspresjonizm lat dwudziestych, pomnożony o bergmanowską filozofię rozpaczki ludzkiego bytowania, to chwilami zbyt wiele jak na ramy jednego ekranu. Jeżeli miałbym wybierać pomiędzy „Kabaretem” a „Jajem węża”, wybrałbym pierwszy z nich. Choć istotnie, trudno je porównywać, choć Bergman, którego tak bardzo cenię, przewyższa niebotycznie skalę talentu Boba Foase'a i... chociaż z zainteresowaniem i napięciem oglądałem „Jajo węża”.

A jak by się miał do „Jaja węża” film Michaiła Romma „Zwyczajny faszyzm”? A jak - „Zmierzch bogów” Viscontiego?

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 10, s. 14.